

Ewa Dank

**SYNDYKAT
SABINY
SNOBEK**



Ewa Dank

Syndykat Sabiny Snobek



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Ewa Dank
„Syndykat Sabiny Snobek”

Copyright © by **Ewa Dank**, 2020
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Redakcja i korekta: **"Dobry Duszek"**
Korekta: **Bogusław Jusiak**
Projekt okładki: **Adam Brychcy**
Skład pdf, epub i mobi: **Adam Brychcy**

ISBN: 978-83-8119-712-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Rozdział I

Była jesień roku 1995. Mglistą listopadową nocą dwie przemarznięte i z lekka zawiane studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego przemieszczały się, odrobinę halsując, cichą i pustą ulicą Świętego Jana.

Kraków był podówczas nieco zapyziałym galicyjskim miastem, pełnym studentów i obfitym w niedrogie puby oraz antykwariaty. Budynki najstarszego polskiego uniwersytetu były otwarte na oścież, za wstęp do kościoła Mariackiego nie pobierano opłaty, znani artyści poruszali się po mieście bez ochrony, zaś na Plantach nocą oddawali płyny ustrojowe obywatele miasta, a nie – jak dzisiaj – zagraniczni turyści. Żył się spokojnie i radośnie, choć niezamożnie, ale za to artystycznie.

W takich właśnie miłych okolicznościach przyrody dwie studentki filologii rosyjskiej podążały, podtrzymując się wzajemnie pod ramię, w kierunku Free Pubu na Sławkowskiej, który otwarty był najdłużej w mieście, lub może wracały na zasłużony spoczynek do akademika, wyczerpane po intelektualnym wysiłku, jakim było studenckie życie. Jedną z nich byłam ja, drugą – moja przyjaciółka Rora (dziś światowej sławy księgowa, ale wówczas nic jeszcze nie zapowiadało tak tragicznego upadku). Znalazłyśmy się mniej więcej w połowie ulicy Świętego Jana, gdy przed naszymi oczyma, niczym „Titanic”, wynurzyła się z mgły ogromna amerykańska limuzyna. Nie tylko się wynurzyła, ale i – ku naszemu sporemu zdziwieniu – zatrzymała. Z rozdziawionymi ustami kontemplowałyśmy niezwykle zjawisko, jako że żadna z nas nigdy nie widziała limuzyny, i to z bliska. Szyba od strony kierowcy obniżyła się bezszelestnie, ukazując popiersie faceta w uniformie i czapce z daszkiem. Jego urodę określiłabym jako przystępną, zaś wyraz twarzy wręcz przeciwny. Szofer wychylił się ku nam i zapytał grzecznie, choć z pewnym niesmakiem:

– Czy macie panie może ochotę na kolację?

Gapiliśmy się na niego z Rorą baranim wzrokiem, a ruchy obracającej się w straszliwym tempie kuli ziemskiej miały naszym tandemem to w prawo, to w lewo.

– Czy można panie zaprosić na kolację? – uściślił szofer, zakładając, słusznie zresztą, że poprzednie pytanie nie zawierało odpowiedniej dozy zachęty.

Gdy czkając z cicha i przebierając nogami, zastanawialiśmy się, co by tu odpowiedzieć, szyba od strony pasażera obsunęła się, bezszelestnie rzecz jasna, ukazując fragment przytulnego, oświetlonego przyćmionym światłem wnętrza. W powstałej szczelinie zajaśniała biała męska dłoń ozdobiona sygnetem, trzymająca zielonkawego papierosa, którym pomachała zachęcająco w naszym kierunku. Uznałam, iż tajemniczy milioner prosi o ogień, wydobyłam więc chińską zapalniczkę i zbliżyłam się do okienka z misją pokojową odpalenia mu papierosa. Biała dłoń z papierosem drgnęła nerwowo i umknęła w bok, ale ja miałam lepszy refleks.

– Nie! Nie! Głupia! Dolary! Dola-hy-hy! – rozpaczliwie czekała Rora gdzieś z tyłu.

Zignorowałam jej bełkot. Przytrzymałam nerwową dłoń, jednocześnie próbując przypalić zielonego papierosa, a że właściciel dłoni, nie wiedzieć czemu, wyrywał się co siłą, niechcący opaliłam mu włoski na knykciach.

Zza szyby doszedł mnie dramatyczny pisk:

– Puszczaj, ty wariatko!

Zanim zorientowałam się, co mam puścić, zielony papieros został mi w ręce, zaś milioner obniżył szybę, żeby wciągnąć dymiącą z lekka dłoń z powrotem, ukazując przy tym kawałek mało interesującej z estetycznego punktu widzenia fizjonomii, mianowicie pulchne usta obrośnięte rzadkimi jasnymi włoskami. Usta wykrzywione były gniewem.

– Wariatka! Wariatka! – zapiszczały gniewnie, w dodatku grasejując. – Te dwie są jakieś popiehdolone, jedziemy! – rozkazały usta szoferowi i schowały się z powrotem za szybę.

Limuzyna odjechała równie bezszelestnie, jak się pojawiła, pozostawiając mnie skamieniałą, z zapaloną zapalniczką w uniesionej dłoni, jak na koncercie Scorpions, a Rorę tuż obok zwijającą się ze śmiechu.

– Popiehdolone... – powtarzała, trzymając się oburącz za trzewia. – Dolahy... popieh-yhy-dolone...

– Coś tak zgłupiała z tymi dolarami? – zirytowałam się.

– On nas chciał zwabić... na dolary... – wyjęczała koleżanka, ocierając z oczu rzęsiste łzy. – A tyś mu je najpierw podpaliła, a potem wyrwała... No, popiehdolona, rację miał.

Ze zdumieniem spjrzałam na trzymanego w ręce papierosa. Było to zwinięte w rulonik, nieco okopcone, autentyczne amerykańskie sto dolarów. To dlatego ten papieros wydał mi się zielonkawy. Przestraszyłam się.

– Spadamy stąd! – Pociągnęłam wciąż wycierającą się Rorę. – Zanim ten świr zrobi kółko i wróci po swoją stówę!

Ruszyliśmy chwiejnym truchtem w kierunku akademika. Gdy już bezpiecznie dotarliśmy do celu, Rora podsumowała:

– Nie idę już z tobą na żadne piwo. Nigdy się nikt normalny do ciebie nie przyczepi!

Trzy dni później, albowiem tyle zajęło Rorze otrząśnięcie się z szoku, wytrzeźwienie, postanowienie trwania w trzeźwości i złamanie postanowienia, a mnie znalezienie kantoru o najwyższym w mieście kursie dolara, wymieniłam stówkę na walutę nabywczą naszego kraju.

Przygotowując się do tej operacji, z dużą niechęcią zrezygnowałam z pomysłu włożenia czarnej maseczki, skórzanych rękawiczek i domalowania sobie wąsików à la Zorro. Obawiałam się, iż tajemniczy milioner, choć ciapowaty, może mieć powiązania ze światem mafii walutowych i rozpozna swoje sto dolarów. W końcu banknot o tak wysokim nominale zapewne nieczęsto cieszył oczy właścicieli kantorów w Krakowie.

Równowartość benjamina franklina w złotówkach w pamiętnym 1995 roku to nie było to samo co dzisiaj, tylko znacznie więcej, więc przepijanie tej kwoty zajęło nam cały miesiąc. Przeważnie wybierałyśmy puby zlokalizowane na peryferiach Rynku Głównego – picie na samym Rynku było źle widziane – po części przez wygórowane ceny napitku i dodatkowy dyskomfort spowodowany przez konieczność zostawienia napiwku, a po części przez niechęć do integracji z turystami oraz nachalnymi kapelami krakowiaków, górali, Cyganów, batiarów lwowskich i Indian peruwiańskich. Dobrze też było omijać z daleka sezonowe

chóralne popisy rezerwy. Rezerwa – być może dzisiaj nie jest to tak jasne jak kiedyś – powstawała na skutek rozpuszczenia wojska i mieszania z alkoholem, przy dużej wybuchowości mieszanki i jeszcze większej tolerancji czynników zewnętrznych. Z niewiadomych przyczyn rezerwiści, zaraz obok kibiców, należeli do ulubieńców władz miasta i obie te grupy zawsze mogły liczyć na solidną ochronę policyjną, gdy zapragnęły rozerwać się na Rynku.

Ale do rzeczy: wspomniana noc listopadowa na szczęście nie miała większych historycznych konsekwencji poza grudniowym kacem, a że w Krakowie wszystko się mogło zdarzyć, i zdarzało się, szybko o niej zapomnieliśmy. Zapoczątkowała ona jednak ciąg niezwykle wydarzeń, w których zmuszona byłam uczestniczyć, nie z własnej woli częstokroć, i co gorsza samotnie. A stało się tak, gdyż w grudniu tegoż 1995 roku, który był zaledwie odrobinę gorszy od 1996, Rora trafiona została strzałą Amora. Trafiona i zatopiona, a że krew nie woda i potrafi wrzeć, Rora przepadła i utonęła w odmętach spełnionej miłości, przez co ominęła ją odjechana historia, którą opowiem za chwilę.

Rozdział II

Było chłodne, lecz słoneczne marcowe popołudnie. Samotnie przemierzałam Rynek Główny, zdążając ku Gołębiej, gdzie rzekomo miały odbywać się jakieś zajęcia filologiczne. Powietrze pachniało wiatrem, mokrymi murami i watą cukrową. Długie cienie kładły się w poprzek Rynku, który był wówczas wyłożony granitowymi płytami, przez co piekielnie śliski w deszcz. Tego dnia co prawda pogoda była słoneczna, ale w niczym nie poprawiało to mego pieskiego samopoczucia. Przemierzałam Rynek sztywno niczym robot, w drżącej z lekka prawicy trzymając papierosa. Poza zwyczajnym, codziennym bólem istnienia, jakiego doznaje każda młoda osoba niemająca większych problemów, nękał mnie nadzwyczajny kac. Papieros dawał zasłonę dymną, a ponadto pozwalał coś zrobić z rękoma, których miałam jakby za dużo. Pomyślałam sobie, że przyczyną nałogu nikotynowego milionów ludzi może być to, iż nie mają co zrobić z rękoma, i uśmiechnęłam się do siebie z goryczą. A ONA musiała to zauważyć.

Jak zwykle siedziała naprzeciw przejścia pod Sukiennicami, przy małym okrągłym stolczku, na historycznie pociętym fotelu w stylu wczesnego Niewyspiańskiego czy innej zabytkowej ekscesji. Królowa Rynku, żywy czakram promieniujący potężną energią na całą okolicę. Zawsze nieco zbyt teatralna, nieco przesadna, z rozpuszczonymi lśniąco włosami koloru oberżyny, białą skórą, dekoltem nieco za pełnym i ciut za bardzo odsłoniętym... Przeszywała człowieka do szpiku kości kocimi, żółtozielonymi oczyma. Wróżka Sabina... Jedna z krakowskich legend, w dodatku jeszcze żywa. Wróżyła z dłoni, z kart albo ze zdjęcia. Z fusów od kawy niechętnie – pobliska kawiarnia podobno nie chciała jej odpalać procentu od utargu. Siedziała przy tym samym stolczku od lat, z rzadka i bez przekonania usuwana przez straż miejską. Plotka głosiła, że jest byłą arystokratką, genialnym medium, stręczycielką, szpiegiem, żywym symbolem miasta. Oraz że jej imieniem miała zostać nazwana następna słonica, którą nabędzie krakowski ogród zoologiczny. Poprzednia miała na imię Kinga i przeniosła się do wieczności po przypadkowym spożyciu nadmiernej ilości soli z lizawki.

Mówiono, iż Sabina zbiła ogromny majątek, wróżąc biznesmenom, stawiając kabałę inwestorom, odczyniając uroki ZUS-u oraz zdejmując klątwy Urzędu Skarbowego. Podobno potrafiła bezbłędnie przepowiedzieć kontrolę z sanepidu. Czy jednak była to prawda, czy po prostu dysponowała rozbudowaną siatką znajomości i dostępem do poufnych informacji? Faktem było, iż wróżka ze swoim stoliczkiem i dekoltem rzucała się w oczy, lecz budziła respekt, nie wesołość. Tym bardziej, że nie wróżyła każdemu chętnemu, jak to czyniły mniej popularne wiedźmy, zdane na łaskę i niełaskę swej ginącej branży. Sabina pławiła się w sławie. Niczym udzielna księżna wybierała z tłumu ofiarę, przyzywała do stoliczka, a potem łupiła niemiłosiernie z gotówki. Wszyscy o tym wiedzieli, jednak nikt nie odważyłby się odmówić wieszczce. Byłoby to jak odmówić legendzie. Jakby nie napić się wódki z Piotrem Skrzyneckim, nie zjeść kalafiora z Robertem Makłowiczem. Tego po prostu nie można było zrobić, pod karą publicznej anatemy. Ale był i inny, ukryty powód: zlekceważona wróżka podobno potrafiła się paskudnie zemścić – ofierze przytrafiał się nieprzyjemny przypadek o charakterze finansowym w ciągu najbliższych 48 godzin. Tym sposobem, jak głosiła plotka, trzymała w garści cały Kraków. Zatem gdy słynna Sabina namierzyła mnie, ponuro szurającą przez Rynek, i przyzwała białą dłonią, poczułam się niczym śmiertelnik wezwany na Parnas. Zawahałam się przez chwilę. Czy ona zdaje sobie sprawę, że posiadam tylko dziesięć tysięcy złotych? Czy może powinnam jej powiedzieć?

Drżąc z niepokoju, przysiadłam się do słynnego stoliczka. Z bliska wróżka wydawała się o wiele... dojrzała. Pachniała bardzo mocno orientalnymi perfumami, jej spojrzenie było świdrujące. Tchnęła ogromną energią, która wgniotła mnie w trzeszczące krzeselko.

Sabina przyglądała mi się przez chwilę badawczo, to z prawej, to z lewej strony, jakby szukając inspiracji. Poczułam się z lekka nieswojo, ale po chwili wróżka zakończyła oględziny i rozpoczęła inwokację:

– Twoje imię zaczyna się na „E”... najpiękniejszą literę alfabetu – powiedziała piersiowym, natchnionym głosem.

Już tym sprawiła mi przyjemność, gdyż dotąd uważałam Elkę za imię skromne i prozaiczne, a gust mych rodziców za przyziemny.

– Ella – powiedziałam, starając się ze wszystkich sił dorównać jej w piersiowym brzmieniu, przy czym zakrztusiłam się.

- Eliza – powiedziała wróżka tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- Może być – zgodziłam się.

Wróżka sięgnęła po moją dłoń. Zawstydyłam się, bo była to z lekka zmarznięta, czerwona i nieznająca manikiuru ręka mało dbającej o pozory dziewczyny. Wróżka też nie była zachwycona. Z lekkim niesmakiem spojrzała mi w dłoń, przesunęła palcem po liniach papilarnych. Zapatrzyła się gdzieś ponad mną, poważnie i ze skupieniem. Tak musiał wyglądać Mickiewicz szykujący się do wielkiej improwizacji. Może pomijając dekolty.

- Z natury jesteś osobą dobrą i prostolinijną – powiedziała wieszczka, trzymając moją rękę w obu dłoniach i wciąż patrząc w dal. – To yin. Ale masz też umysł i dzikość w sercu... to yang. Dwie sprzeczne natury spotkały się w tobie i walczą o swoje. Wybrałaś prostą i łatwą drogę, drogę serca, ale gdzieś tam w głębi siedzi w tobie ta dzikość, którą próbujesz okiełznać. Nie potrafisz jej okiełznać. Ale boisz się ją uwolnić. Nie masz szczęścia w miłości. Nie masz szczęścia do ludzi. Nie masz szczęścia do pieniędzy. Twoja dzika natura domaga się ognia, ale skąd go wziąć?

Sabina mówiła krótkimi kategorycznymi zdaniami, jednocześnie masując palcem moje linie papilarne, jakby chciała zmienić ich bieg. Pod wpływem jej słów, które bynajmniej pieszczotą nie były, wyobraziłam sobie następne dwadzieścia lat mojego życia, zachodzące jak to wczesnowiosenne słońce nad Starym Miastem, dwadzieścia lat przemierzania Floriańskiej, Szewskiej, Brackiej i Sławkowskiej, wędzenia się w papierosowym dymie Awarii, Kliniki czy Klubu Kulturalnego. Czekanie na coś, ale na co? Na przygodę, na szaleństwo, na miłość? Na to, że nareszcie będzie jak w filmie amerykańskim: pięknie, romantycznie, namiętnie i z muzyką w tle? Że nareszcie odnajdę to, czego szukam?

Spojrzałam w kocie oczy Sabiny, która dostrzegła marność mojego położenia, przeniknęła warstwę późnogotyckiego makijażu, farbowane włosy i kurtkę z amerykańskiego demobilu i zobaczyła w mojej dłoni, a może w moich oczach, że naprawdę nie dzieje się nic i nie zdarzy się nic aż do końca. I wtedy rozryczałam się jak dziecko. Sabina podała mi chusteczkę higieniczną. Potem złożyła ręce na obfitej piersi i przyglądała mi się z satysfakcją lekarza, który postawił trafną diagnozę. Opanowałam powódź łez, otarłam smarki z twarzy i okolic i spojrzałam

w żółte oczy. Zastanawiałam się, czy to już koniec. Oraz ile mnie ten dół będzie kosztować.

– No, no. Jeszcze wszystko da się naprawić – powiedziała niespodziewanie Sabina. – Masz dopiero dwadzieścia lat (miałam dwadzieścia trzy). Najważniejsze są wybory, jakich dokonujesz. Popatrz na siebie: jesteś lwem, potrzeba ci szerokich przestrzeni, wielkich wyzwań, dramatów, a ty co robisz? Usychasz! Nad książkami!

Na każde jej słowo kiwałam głową jak kościelna figurka skarbonka, gdy wrzuca się monetę.

– Musisz dostrzec okazje, jakie daje ci los. Musisz nauczyć się z nich korzystać! Otwórz się! Przestań bać się ludzi – ciągnęła w natchnieniu, głosem trąby jerychońskiej, aż przechodnie się na nas oglądali. – Przestań bać się mężczyzn. Musisz mieć odwagę, aby obudzić w sobie kobietę. A wówczas, moja mała, świat będzie twój. Ty masz to w sobie. Tę dzikość, tę namiętność, tę odwagę. Widzę ją, promieniuje silną pomarańczową aurą. Musisz ją tylko uwolnić. – Wróżka przerwała, aby nabrać tchu. W zachodzącym słońcu ona również miała silną pomarańczową aurę. Wiedziałam, że ma rację. Tylko skąd wziąć te mocne wrażenia w Krakowie? To znaczy mocne, ale takie, z których wychodzi się żywym...

Tymczasem wróżka odetchnęła i powtórzyła za moimi myślami:

– Tak, skąd wziąć mocne wrażenia? Ależ one są tuż obok, trzeba tylko umieć patrzeć! Czytać to, co oferuje ci los! Obiecay mi: jeśli pojawi się jakaś szansa, jakaś okazja, wykorzystasz to?

Zanim zdążyłam wybełkotać, że na pewno, choć nie wiem jak, wróżka zapytała innym już, zwyczajnym głosem:

– À propos, na tych waszych uniwersytetach nie znasz kogoś, kto dobrze mówi po angielsku? Potrzebuję tłumacza dla gościa z zagranicy.

– Właściwie to ja trochę mówię – zgłosiłam się radośnie. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że jako wróżka powinna sama to wiedzieć.

– No, oczywiście! – potwierdziła. – Przy twoich zdolnościach powinnaś znać z pięć języków!

Nie byłam pewna, czy to komplement, czy przygana, więc się nie odezwałam.

– No to może chciałabyś troszkę dla mnie popracować?

Pochyłym, spiczastym pismem wróżka zapisała sobie na skrawku papieru mój numer telefonu. Z tajemniczym uśmiechem i błyskiem w oku stwierdziła, że odmawia przyjęcia dziesięciu tysięcy, gdyż odpracuję jej to i jeszcze będę wdzięczna. Otuliła się grubym aksamitnym szalem, złożyła karty, zamykaną popielniczkę i jakieś inne srebrne drobiazgi do przepastnej skórzanej torby i odeszła, skinąwszy tylko głową na pożegnanie.

Z pobliskiej kawiarni wybiegł rączy kelner i zaczął zbierać fotel, krzesółko i słynny młodopolski stoliczek. Pospieszenie wniósł mebelki do kawiarni. Może jednak Sabina miała z nimi jakiś układ?

Rozdział III

Naturę mam podejrzliwą i skłoną do wątpliwości. Nie wierzę we wróżby, karty, kryształowe kule oraz że przyszłość człowieka można przepowiedzieć. Co innego z przeszłością... Może dlatego, jak słyszałam, słynne wróżki zwykły dowodzić swego daru, mówiąc ludziom to, co już dawno wiedzieli. Przemowę Sabiny trudno było jednak nazwać wróżbą. Domyśliłam się, że linie dłoni muszę mieć tak nieciekawe, iż nawet niezwykle kreatywna Sabina nic z nich nie potrafiła wycisnąć. Sabina, która, jak głosiła plotka, przepowiedziała szaloną przyszłość pewnej zakonniczki. I sprawdziło się! Jednak w mojej sytuacji nic nie miało się sprawdzić. Ani szaleństwo, ani barwne życie, ani przygoda, ani film amerykański, ani nawet wschodnioeuropejski. Kino moralnego niepokoju najwyżej, i to amatorskie. Takie, w którym w dusznej atmosferze jednego pokoju wszyscy całymi godzinami gadają, ale nikt nic nie robi.

Przygnębiona i z chaosem w głowie oddalałam się od stanowiska Sabiny, celowo nie rozglądając się na boki, żeby nie wyglądało na to, że czegoś szukam. Przechodząc przejściem przez Sukiennice, niechcący potrafiłam jakiegoś domorosłego artystę i straciłam mu kilka obrazków.

– Oj, przepraszam najmocniej – przejęłam się i padłam na kolana zbierać dzieła sztuki przez bardzo małe „s”. Były to maleńkie obrazeczki malowane metodą, że tak powiem, kropelkową, w mocno zaangażowanych kolorach. Przedstawiały widoczki krakowskie 24/7. Rynek Główny w pochmurny dzień wymalowany był na podobieństwo połyskującej patelni z alu, zachód słońca nad Wawelem wyglądał jak beknięcie smoka, a słońce w zenicie oświeślało równomiernym żółtym światłem krakowskie kamienice niczym dojrzałe pieczarki pod szklarnią. Nawet dla mojego niewprawnego oka były to niezwykle bohomazy. Artysta tymczasem wyjął mi ze zdumionych dłoni arcydzieła i pieczołowicie umieścił na stojaku.

– Podobają się? – zapytał.

Omiotłam spojrzeniem jego pociągłą twarz, nieco sfilcowane blond dredy zebrane w kucyk, błękitne oczy w romantycznej czerwonej oprawie, orli nos, pięknie wykrojone usta, a w nich brak górnej piątki, znów błękitne oczy, znów zmysłowe usta... tę piątkę na pewno stracił

w jakimś namiętym pocałunku... duże dłonie poplamione farbami, błękitne oczy, obecnie nieco wytrzeszczone, straszliwe bohomy na stojaku, znów usta... szczęśliwa dziewczyna, którą on tymi ustami pocałuje – choćby nawet namalował jej portret...

– Nie podobają się? – ponaglił artysta, z wdziękiem zapalając papierosa.

– Skąd! Przepiękne! – wykrzyknęłam, w myślach pieszcząc te duże, poplamione i pozbawione talentu dłonie. Przygnębienie minęło mi jak ręką odjął.

– Pięćdziesiąt tysięcy – zaproponował. – Albo dwa za osiemdziesiąt. Szalona okazja – dodał zachęcająco.

– Istotnie szalona – potwierdziłam, patrząc mu w oczy i myśląc intensywnie, jak tu wyłgać się z zakupu pieczarek, a nie zakończyć tak pomyślnie rozwijającej się konwersacji. – Ale ja nie przepadam za piecz... współczesnością. Wolę portrety i takie rzeczy, bardziej klasyczne... styczne... klasyyy... cystyczne.

– Widzę, że zna się pani na sztuce – powiedział piękny malarz i wzrok mu zapłonał. – Zatem mógłbym mieć dla pani inną propozycję, ale musielibyśmy pójść do mnie...

Natychmiast wyobraziłam sobie ofertę seksualną lub z pobliskiej branży i szykowałam się do ostrej odpowiedzi, ale przyszło mi do głowy, że z nas dwojga on prawdopodobnie szybciej zarobiłby seksem niż ja.

Tymczasem nie dowiedziałam się, co to za oferta, gdyż przy stojaku zatrzymała się grupa Japończyków, mocno doinwestowana w branży foto-video. Natychmiast zostaliśmy wraz z artystą uwiecznieni na tle wściekle kolorowych pejzażyków. Japończycy wydawali się nieco ironicznie rechotać, wskazując sobie nawzajem obrazki. Artysta z kolei kłaniał się i uśmiechał, więc wyglądało, że bierze to za dobrą monetę. A może po prostu lepiej znał się na Japończykach. W pewnej chwili wydobył solidnie wyglądający, choć sklejonny plastrem, kalkulator Sharp z mnóstwem tajemniczych przycisków z pierwiastkami, różniczkami oraz ilorazem nieskończoności, i mozolnie wystukał na nim 120 000. Japończycy na widok kalkulatora buchnęli nieutulonym śmiechem. Artysta szybko wykasował 120 i nastukał 100. Ubawieni po pachy Japończycy kupili każdy po dwa obrazeczki. Nie pozwolili ich pozawijać i oddalili się w kierunku Hawelki, pokazując sobie nawzajem arcydziełka. Jeszcze długo potem dochodził nas ich rechot.

Tymczasem najprzystojniejszy (a obecnie również najbogatszy) z pacykarzy pieczołowicie zwinął w rulonik świeżo udojone banknoty i spojrzał na mocno przetrzebiony stojak. Zostały już tylko dwie patelnie, dwie grupy wyjątkowo koślawych pieczarek i jeden zachód słońca za willą Szyszko-Bohusza, kompozycja zapewne omyłkowo interpretowana jako pożar Wawelu. Artysta rozejrzał się wokół, zauważył, że wciąż przy nim stoję z miną krowy zagapionej w malowane wrota, i zaproponował:

– Eee... prawie wszystko już sprzedałem, może pomoże mi pani odnieść rzeczy do tej tam kawiarni... Napijemy się piwka.

Wyglądało na to, że albo boi się, iż Japończycy zaraz wrócą i zechcą zwrócić zakupione bohomazy, albo nienawykły do sukcesów zapragnął natychmiast wydać zarobioną gotówkę na kobiety, wino i śpiew. Ja w każdym razie odniosłabym mu ten stelaż do Kalwarii, nie tylko kawiarni.

Artysta wskazał pobliską słynną kawiarenkę pod nazwą Vis-à-vis, którą w kręgach wtajemniczonych nazywano romantycznie „Zwisem”. Osobiście nigdy w niej nie bywałam z powodów wyłuszczonych w rozdziale poprzednim, a z obserwacji moich wynikało, że w „Zwisie” przesiadują przeważnie smutni panowie o wyglądzie wskazującym, co współgrałoby z potoczną nazwą lokalu. Wyglądało, że nie jest to miejsce, gdzie można poderwać chłopaka poniżej czterdziestki. Ale że zostałam zaproszona na piwo przez takiego właśnie chłopaka, który w dodatku mi się podobał, wszelkie obiekcje zniknęły. Rażno chwyciłam metalowe dziadostwo, malarz pieczołowicie pozdejmował i pozawijał obrazeczki i podążyliśmy, z lekka szurając, w kierunku „Zwisu”. Nasze wejście do kawiarni zostało przyjęte z niejakim zdziwieniem. Jeden pan głośno odłożył fajkę, inny zachłysnął się koniakiem. Pomyślałam ze zdziwieniem, że powodem zamieszania chyba nie może być moja uroda, a mego towarzysza chyba tam znali. Tymczasem artysta przedstawił mi się oryginalnym imieniem Tymon. Na takie dictum nie wypadało odpowiedzieć prosto „jestem Elka”, więc rzuciłam mu powłóczyście spojrzenie i powiedziałam:

– Jestem Eliza.

Na dźwięk tego imienia malarz podskoczył, jakby dźgnięty szydłem, i wybałuszył na mnie błękitne ślepie.

– Ty jesteś Eliza? TA Eliza?

Potwierdziłam, bo niby co miałam do stracenia. Najwyraźniej imię to wzbudzało duże emocje.

A Tymon na to:

– Wiele o tobie słyszałem...

Na co ja z kolei drgnęłam i zachłysnęłam się piwem, bo zrozumiałam, że coś tu może być nie tak. Tymon wpatrywał się we mnie wzrokiem pełnym uwielbienia, mnie z oczu płynęły łzy i dopiero gdy gość z sąsiedniego stolika podszedł i łupnął mnie w plecy, zaskoczyłam i złapałam haust pełnego dymu powietrza, na co Tymon, zamiast podziękować, odezwał się z urazą:

– Nie tak mocno, przecież to kobieta...

Kiedy już oboje jako tako doszliśmy do siebie, podskoczył do baru i przyniósł nam po wyjątkowo egzotycznym jak na Kraków drinku (pimms z colą), aby uczcić tak znamienne spotkanie. Zaczął gorąco namawiać mnie do odwiedzenia swojej pracowni, znajdującej się niedaleko, gdzie są rzeczy, które na pewno mi się spodobają. Ponieważ nagle poczułam się cudownie lekko, odparłam, że i na miejscu są rzeczy, które mi się podobają, Tymon oblał się rumieńcem, a ja musiałam siłą powstrzymać się, aby nie musnąć go stopą pod stołem. W tym celu udałam się do toalety, aby trochę ochłoniąć i oblać twarz zimną wodą. Gdy wróciłam, Tymona nie było przy stoliku, przy moim drinku stał następny drink z cytrynką, ale pod stołem nadal leżał oberwany zabytkowy plecak oraz artystyczny sabotaż, więc wiedziałam, że morderca sztuki powróci po swoje narzędzia zbrodni. Tymczasem zajęłam się drinkami. Ten drugi smakował troszkę inaczej niż pierwszy, a już cytryna była wyraźnie gorzka. Tymon wciąż nie wracał, a mnie zaczęło się kręcić w głowie.

W lokalu zaludnienie zwiększało się z minuty na minutę, było siwo od dymu, głośno i przytulnie. Osoby wokół mnie miały co prawda trochę duże głowy, ale na małej przestrzeni zawsze głowa wydaje się większa. Obok mnie przeszła kelnerka w fartuszkach, pod którym miała dobrze dopasowany kostium pręgowanego kota. Pomyślałam, że mam halucynacje, ale poza tym wszystko wyglądało normalnie, klienci w sombreroach, za wielkim oknem ciemność i tylko zielone płatki śniegu wielkości gołębi uderzające o szybę, typowa pogoda w marcu. Tymon nadal nie wracał, jeden pan uchylił sombrera, pod którym miał kolorową

papugę, kelnerka uśmiechnęła się do mnie, a ja odpowiedziałam uśmiechem i zagałam:

– Też mam kota, tylko łaciatego.

Kelnerka przestała się uśmiechać i spojrzała podejrzliwie, jakby uważała łaciate koty za nielegalne, a ich posiadanie za podlegające odpowiedzialności karnej. Chciałam coś dodać na ten temat, ale ona jakby rozplynęła się w powietrzu, a na moim stoliku rozsypały się zapałki i zaczęły się układać w skomplikowane wzory, jak w kalejdoskopie.

– Hej, przestańcie – powiedziałam do nich, ale one nie słuchały i wprawnie ułożyły się w napis: PIERDU PIERDU, wyglądający nieco science fiction.

Nie miałam pojęcia, o co im chodzi, co to wszystko ma znaczyć i co ja tu robię. Poczułam się okropnie głodna i samotna, za towarzystwo mając jedynie figuralne zapałki.

– Przepraszam, czy tu można tańczyć? – zapytałam kogoś z tyłu, prawdopodobnie tego samego człowieka, który wcześniej uratował mi życie.

– Piękne panie mogą tańczyć nawet w piekle – odparł szarmancko.

– Gdzie jest Tymon? – zapytałam, usiłując ogarnąć zapałki, które tworzyły ludowe wzory tuż przed moimi oczyma.

– Na co ci Tymon, ty cudowne dziecko – odparł starszy, dobrze ubrany pan z niezwykłym błyskiem w oku. – Na co ci ten partacz, to beztalencie, ja dla ciebie stworzyłbym dzieła na miarę światową, ekstazę geniuszu, płomienną sztukę przez wielkie „P”...

– Pochodnie Nerona – podsunęłam, oganiając się od zapałek.

Pan spojrzał na mnie zbity z tropu. Dopiero teraz dostrzegłam, z kim mam do czynienia: starannie podkreścone piękne wąsy, czarne, ogniste, choć nieco zmęczone, oczy, orli nos...

– Kossak, Wojciech! – zgadłam, a w oczach pana pojawił się niepokój. Najwyraźniej wolałby być Malczewskim albo Styką. Na skutek tego wąsy mu zwisły i pojaśniały. – Wyspiański! – wykrzyknęłam radośnie, gdyż wydało mi się, iż nieznajomy pan kazał mi zgadywać ze swej fizjonomii. Wąsy przerzedziły się i zwisły smutno, przechodząc w rzadką bródkę – Matejko! – kontynuowałam radośnie, a poważny pan jeszcze bardziej spoważniał.

– Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, dziecko, na co się porywasz, ty i ten twój Hiszpan! – wykrzyknął ze wzburzeniem.

Roześmiałam się na myśl, że ktokolwiek mógłby uznać Tymona za południowca przy jego wybitnie słowiańsko-myszowatej urodzie.

– Ależ cóż z niego za Hiszpan, z tego Tymona – chichotałam. – Słowak najwyżej, i to nieudany...

– Nie mówię o Tymonie – zirytował się nobliwy pan. – Mam na myśli...

W tym momencie jednak wydarzyły się nieomal równocześnie dwie istotne rzeczy: przez tłum przedarł się nieco mokry na głowie i w okolicach Tymon, a ja właśnie dopiłam jednym haustem tego drugiego drinka, po czym cała knajpa, włącznie z tchnącym zimnem artystą, zawirowała. Chwyciłam się brzegu stolika.

– Złap się czegoś! – krzyknęłam do Tymona, który z niewiadomych przyczyn zamarł, zapalając papierosa, i wpatrywał się we mnie jak ciele w kinematograf. – Złap się, bo wylecisz! Mamy mocny przechył, dziesięć w skali Beauforta!!!

Tymon zamrugał kilkakrotnie i nachylił się do mnie.

– Czy ty się dobrze czujesz?

– Czuję się wspaniale – wrzasnęłam służbiście. – Musimy zatopić „Bismarcka”!!!

Z pobliskiej fali, ociekając wodą, wynurzył się nobliwy pan, a za nim szklaneczka z morską whisky.

– To jest ułańska dziewczyna! – powiedział z uznaniem, podkreślając wąsa z wodorostów. – Jak szaleć, to szaleć, panie tego. Ty odczep się, wymoczku, ta panienska pójdzie ze mną. Dziś już nie ma takich kobiet! – Starszy pan zdecydowanie chwycił mnie pod rękę. – Chodź, dziewczynko, razem zatopimy „Bismarcka”...

Coś mi tu jednak nie grało, ponieważ po pierwsze Tymon stanął w mojej obronie uzbrojony w trójząb, w pozycji wyjściowej do patroszenia, czyli jak Posejdon na fontannie w Gdańsku, po drugie zamiast wydać okrzyk bojowy i dźgnąć starego morsa, powiedział błagalnie:

– Panie profesorze, ja bardzo proszę... Ta pani źle się czuje, musi iść do domu...

– Nie żadna pani, tylko Eliza – rozdarłam się. – Jestem Eliza i żadne dla Elizy nie jest mi obce.

Wydawało mi się, że przez „Zwis” przebiegł szmerek, na ile to było możliwe. Starszy pan zmienił się w oszroniałego tygrysa, który w potężnej łapie ścisnął moje ramię.

– Pani Eliza musi pójść ze mną – powiedział groźnie.

Ślina kapała mu z pyska, a wąsy drgały w tłumionym warkocie... Nagle zrozumiałam, że intencje emerytowanego drapieżnika nie są najczystsze, i odsunęłam się w kierunku Tymona, który z kolei wyglądał jak szary, wychudzony lisek, w dodatku cały pokryty dreadami.

– Pójdę, ale tylko z pieskiem preriowym – zdecydowałam i obaj mężczyźni spojrzeli na mnie osłupiali, a potem nawzajem zmierzyli się wzrokiem, próbując oszacować, czyj rysopis lepiej odpowiada wymienionemu gryzonowi.

– Ty jesteś moim pieskiem preriowym – powiedziałam, tuląc się do Tymona. – Pójdziemy teraz do twojej pracowni i pokażesz mi te wszystkie rzeczy, o których mówiłeś... Tylko zatrzymaj tę karuzelę, weź te straszne kolory z moich oczu, bo tak mi słabo...

– Ona chyba mówi o twoich obrazach – powiedział starszy pan zgryźliwie.

Coś jeszcze mówił, ale pode mną ugięły się nogi, okolica zawirowała w strasliwym kołowrocie, zobaczyłam mnóstwo czerwonych twarzy, gdzieś w oddali roześmianą Sabinę w białym futrze, jej dłoń połyskująca ciężkimi pierścieniami gładziła po twarzy jakiegoś gościa w żelaznej masce, Rorę przebitą na wylot strzałą Amora, kelnerkę wachlującą się pręgowanym ogonem...

– Wszystkie koty są takie same – wyznałam w ostatnim tchnieniu i prawdopodobnie umarłam lub też z innego powodu straciłam przytomność.

Rozdział IV

Kiedy się obudziłam, a mogło to być po dziesięciu minutach, godzinach lub latach, było mi okropnie zimno. Leżałam w ciemności woniejącej z lekka stęchlizną, lecz zanim zdołałam się nad tym zastanowić, zasnęłam ponownie. Kiedy obudziłam się kolejny raz, sytuacja niewiele się zmieniła. Nadal leżałam w zimnej, stęchłej ciemności, z tym że byłam już zupełnie skostniała. Przyszło mi do głowy, iż umarłam i pochowano mnie w rodzinnym grobowcu na Batowicach. Na szczęście w tej samej chwili usłyszałam głosy. Ktoś się z kimś kłócił. Wyeliminowało to straszącą ewentualność cmentarza, gdyż jakkolwiek żyjąca rodzina od lat trwała w konflikcie, to z pewnością niemożliwe było, aby kłócili się lokatorzy grobowca. Pocieszyłam się więc, że choć ciemno, zimno i śmierdzi, to przynajmniej wciąż żyję. Kłótnia trwała w najlepsze, słychać było męski i kobiecy głos, lecz słów nie dało się odróżnić. Spróbowałam się poruszyć i wszystko wokół mnie zaskrzypiało. Nie wiem, jak tam odważniejsi obywatele, którzy znalazłszy się w podobnej sytuacji w całkowitych ciemnościach, może przyjęliby skrzypienie za dobrą monetę, ja jednak, nieobdarzona przez naturę nadmiarem męstwa, wydałam z siebie mimo woli chrapliwy, niewprawy, lecz tym bardziej przerażający odgłos. Zabrzmiało to jak przeciągłe iiiiiiieeeeeyyyyuuuu... Wokół zapanowała cisza.

- Co to było? – zapytał z niepokojem męski głos.
- Budzi się chyba – powiedział głos kobiecy. – Co robimy?
- Ona cię nie słyszy? – upewnił się mężczyzna, znajdujący się gdzieś niedaleko.
- Jest nieprzytomna – powiedziała spokojnie kobieta. – Ktoś jej dosypał czegoś do drinka w „Zwisie”. Na pewno Baltazar! Tymon nie wiedział, co z nią zrobić, i przytargał tutaj nieprzytomną.
- Dlaczego tutaj? Nie mógł jej gdzieś zostawić? Ten Tymon to idiota, coraz bardziej mi działa na nerwy. Co z nią zrobimy? – zapytał mężczyzna. – Tam gdzie Baltazar? Do Wisły?

Zamarłam z przerażenia, a co gorsza zrobiło mi się strasznie niedobrze. Pomyślałam, że jak zarzygam im całą tę ciemność, to na

pewno się mnie pozbędą w sposób niezgodny z prawem.

Tymczasem kobieta wyszeptała dramatycznie:

– Nie! Nie możemy tego zrobić! Przecież to Eliza! Eliza Santos Pereira!

Mężczyzna zakrztusił się i zapytał chrypliwie:

– Eliza? Jak to Eliza? Ta Eliza?

– Tak – odpowiedziała kobieta. – Profesor chyba rozpoznał ją w „Zwisie” i chciał zabrać do siebie, ale Tymon mu nie pozwolił, a że nie wiedział, co z nią zrobić, to przywiózł ją tutaj.

– No dobrze – powiedział mężczyzna. – Ale skoro to jest ta słynna Eliza, to dlaczego, do cholery, położyliście ją w tym koszu?

– Cii, ciii – uciszała go kobieta. – Myśleliśmy, że nie żyje.

Tego było mi już za wiele. Podniosłam się, walcząc z mdłościami, uderzyłam głową w wieko wiklinowej trumny i próbowałam wzywać pomocy, lecz usta miałam dziwnie sparaliżowane i udało mi się jedynie ponownie wydobyć z siebie skowyt niedoświadczonego wilka.

– To jest jakieś wariactwo, to jest chałtura nie biznes! – wykrzyknął mężczyzna z nieskrywaną wściekłością. – Sprowadźcie mi tu natychmiast Chemika. Ona ma nic z tego nie pamiętać!!! Nic!!! Rozumiesz?

Przerażona próbowałam wydostać się z kosza, ale był za wąski, więc tylko uderzałam osłabłymi dłońmi w wieko, na którym musiało leżeć coś ciężkiego, i wyłam ochryple. Tymczasem w ciemności słychać było ruch, ktoś wychodził, ktoś wchodził, ktoś coś szeptał, po czym rozległo się szuranie i skrzypienie, wieko kosza uniosło się i oślepił mnie blask kilkunastu żarówek, który okazał się tak bolesny, że aż pisnęłam. Nade mną pochylał się jakiś kudłaty osobnik. W ręku trzymał przeźroczystą strzykawkę.

– Oj, biedna dziewczyna, całkiem zielona – powiedział. – Ona rozumie po polsku?

– Rozumie, rozumie – odpowiedziała kobieta z niecierpliwością. – Pospiesz się, zanim się ocknie na dobre. Ma nic nie pamiętać. Nic a nic.

– Okej, okej, ale takiej roboty to miało nie być – odpowiedział kudłaty, który skądinąd sprawiał sympatyczne wrażenie, bynajmniej nie wyglądając na płatnego mordercę. Delikatnie podniósł moją rękę i podwinął rękaw kurtki. Nie próbowałam się wrywać, bo nie chciałam,

by wiedzieli, że wszystko słyszałam, jako że mogło się to skończyć w Wiśle.

– Oj, marne, marne żyły – uzalił się sympatyczny kudłacz.

W końcu jednak wymacał jakąś, poczułam ukłucie, zdążyłam tylko w myślach przeżegnać się i odpłynęłam ponownie.

Muszę przyznać, że bardzo często owego dnia odzyskiwałam i traciłam przytomność.

Ostatnie przebudzenie było najprzyjemniejsze. Ku memu zdziwieniu, tym razem ocknęłam się w szerokim łóżku o miękkiej pościeli, w przestronnym pokoju, przez którego okno wpadały promienie wiosennego słońca, na stoliku stał wazon z bukietem świeżych kwiatów, a najważniejsze było to, że wciąż żyłam...

Chyba że już nie żyję – pomyślałam. To wszystko wydawało się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe... Uniosłam się nieco w pościeli i w głowie łupnęło mi straszliwie. Z jękiem opadłam na poduchy. Pocieszające było to, że skoro bolało, to jednak żyłam. Czuję, więc jestem... Ale gdzie ja jestem? Ostrożnie poruszyłam gałkami ocznymi, usiłując zorientować się w położeniu. Jak już wspomniałam, spoczywałam w wygodnym łóżu wyglądającym na mahoniowe względnie imitowane. Pokój miał bardzo wysoki strop z zabytkowymi drewnianymi belkami. Spore okno ozdabiała haftowana aksamitna kotara i cieniusieńkie jasnożółte firanki, przez które wpadały wyżej wspomniane promienie słoneczne. Na szerokim parapecie stała doniczka z trzykrotką. Pod ścianą staroświecka rzeźbiona szafa i uchylne lustro, w rogu piec kaflowy pełniący chyba funkcję ozdobną, gdyż pod parapetem szerzył żeberka dorodny kaloryfer. Obok łóżka stał śliczny wyginany fotel z epoki matejkowskiej, a na nim leżał – o zgrozo – cały mój doczesny dobytek w postaci odzieży tudzież bielizny, najwidoczniej wypranych i wyprasowanych, włącznie z majtkami i skarpetkami. W tym momencie w głowie łupnęło mi szczególnie boleśnie, a serce podskoczyło do gardła. Ogarnięta paniką, zaczęłam pospiesznie analizować.

Skoro jestem rozebrana do naga, najwyraźniej wykąpana i przebrana w świeży biały szlafrok, to pewnie zostałam wykorzystana w stanie

nieprzytomnym i uwięziona... Ale przez kogo? Przez Tymona? Nie kwapił się do wykorzystania mnie w stanie wskazującym na życie, a co dopiero w stanie potencjalnie nieżywym??? I to w wiklinowym koszu? Artyści miewają dziwne zachcianki, ale chyba nie aż tak? Ale, ale, przecież tam był jeszcze ktoś... Kobieta i mężczyzna, to na pewno ta parka spod ciemnej gwiazdy! Tylko gdzie ja jestem? I czy w końcu zostałam wykorzystana, czy nie?

Od szyi w dół czułam się bardzo dobrze, kończyny wydawały się nieco przyciężkie, ale nic ponadto. Z jękiem podniosłam się z łóżka, zrzuciłam szlafrok i dokładnie obejrzałam się w lustrze. Nic. Żadnych podejrzanych siniaków, zadrapań, odcisków palców. Nic. Hmmm. Wypięłam się do lustra. Nic, albo raczej to samo, co zawsze. Czy powinnam wyglądać jak Mia Farrow w Dziecku Rosemary? Cała w szramach, jakbym poszła do łóżka z Edwardem Nożycorękiem? Po czym poznać, że coś było, jeśli nic się nie pamięta? W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, więc rącho wskoczyłam do łóżka, po drodze łapiąc ze stołu ciężką kryształową popielniczkę. Jeśli to mój oprawca, to jeszcze się zdziwi.

Tymczasem do pokoju weszła dziewczyna w stroju pokojówki z ubiegłego ustroju politycznego, a mianowicie w granatowym chałacie z poliestru oraz w ortopedycznym sznurowanym obuwiu bez palców, włożonym na rajstopy. Na piersi miała plakietkę z wypisanym flamastrem nazwiskiem: Iwona Pieniążek, II p.

Dziewczyna spojrzała na mnie ze skrywanym rozbawieniem.

– Dzień dobry – wyrecytowała służbiście. – Jest godzina dziesiąta, zamawiała pani budzenie, śniadanie wydajemy do jedenastej, restauracja w podziemiu, należy okazać klucz, doba hotelowa kończy się o jedenastej. Będzie pani zwalniać pokój?

– Będę zwalniać – odpowiedziałam słabo. – To jest hotel?

Iwona Pieniążek spojrzała na mnie wzrokiem wyrażającym naganę.

– Jest pani gościem hotelu Barbie Cane. Minibar korzystany był?

– Nie... Nie wiem – odpowiedziałam jeszcze słabiej, gdyż zdawało mi się że pokojówka mówi do mnie w obcym języku. Brzmienie było znajome, ale treści nie rozumiałam ani w ząb.

Iwona spojrzała na mnie z jeszcze większą dezaprobatą i otworzyła skrzydło wielkiej szafy. Wnętrze skrywało elegancką małą lodóweczkę wypełnioną ślicznymi małutkimi buteleczkami i opakowaniami. Pokojówka z wprawą sprawdziła zakrętki i obmacała opakowania.

– Niekorzystany – poinformowała mnie, po czym przypomniała, że za godzinę należy zwolnić pokój, i wyszła, z lekka piszcząc gumą ortopedycznego obuwia na drewnianej podłodze.

Zamknęłam usta, które miałam nieświadomie otwarte przez większą część jej wizyty, i zabrałam się do ubierania. Nurtowały mnie następujące zagadnienia:

1) Pomimo przeprowadzonej sondy wciąż nie wiedziałam, gdzie jestem.

2) Hotel wyglądał na przyzwoity, a więc kosztowny, i z całą pewnością nie miałam czym za niego zapłacić.

3) Jeśli nie zapłacę, będą nieprzyjemności i być może zostanę aresztowana.

4) Jeśli mnie przymkną, to sprawa oprze się o łono rodziny.

5) Choćbym myślała sto lat, to nie wymyślę sensownego wytłumaczenia, jak ja się tu znalazłam.

5) Jak ja się tu znalazłam?

W obliczu nieuchronnej katastrofy rozważałam możliwość ucieczki przez okno. Niestety, wychodziło ono na dziedziniec, niegdyś będący podwórkiem, a obecnie przykryty nowoczesnym szklanym dachem, pod którym zapewne znajdowało się foyer hotelu. Desant z okna na oszklone zadaszenie raczej nie przeszedłby niezauważony, a gdybym została schwytana – patrz punkty 3-6. Zdecydowałam się więc po męsku stawić czoło przeciwnościom losu. Postanowiłam, iż obejrzę rachunek i w razie czego zadzwonię do Rory z prośbą o wsparcie. Jako zatrudniona na pół etatu w księgowości powinna mieć łatwy dostęp do gotówki. Pocieszona tą myślą zeszłam do restauracji. Z kolei pokrzepiona wysokokalorycznym śniadaniem połączonym z lekturą prasy pojawiłam się przy recepcji.

W hotelowym lobby kręciło się kilka osób o wyglądzie zagranicznym oraz wskazującym na nadmierną i długotrwałą konsumpcję wielokrotnie przetworzonych produktów spożywczych, właściwych krajom kapitalistycznym o wysokim produkcie krajowym brutto.

– Poproszę o rachunek – powiedziałam rażnym głosem, który drżał mi tylko troszeczkę.

Panienka za kontuarem spojrzała na mój klucz, kliknęła w komputer i odpowiedziała słodko:

– Wszystko zapłacone z góry, proszę pani. – Po czym z przegródki za plecami wyjęła grubszą kopertę. – Tutaj jest jeszcze list do pani. Dziękujemy, że wybrała pani hotel Barbie Cane i zapraszamy ponownie!

Sądząc, że recepcjonistka pomyliła mnie z kimś innym, początkowo zdębiałam, ale po chwili zdałam sobie sprawę z wyłaniającej się okazji. Nie próbując wyjaśnić nieporozumienia, chwyciłam kopertę i rzuciłam się do wyjścia, które na nieszczęście okazało się przeszkłone i zamknięte. Odbiłam się od szyby, zostawiając – jak zauważyłam, bo człowiek zawsze jakiś głupi szczegół dostrzeże – paskudny, tłusty ślad na szkle. Koperta wyleciała mi z ręki i wykonała wdzięczne salto w powietrzu, po drodze pozbywając się zawartości. Leżałam z krwawiącym nosem na wytwornej hotelowej wycieraczce, a z góry, jak jesienne liście, z cichym szelestem opadały na mnie zielone banknoty.

Wydawało mi się, że czas stanął w miejscu. Lobby zamarło, świat zatrzymał się i wpatrzył w moją nikczemną osobę upokarzająco rozciągniętą na logowanej wycieraczce.

Dystyngowane grono hotelowych gości zapewne rozważało w myślach, czy rzucić się na podłogę i zbierać walutę, czy też lepiej się nie zbłaźnić, bo to może być ukryta kamera. Po trwającej jakieś dziesięć lat chwili absolutnej ciszy usłyszałam zza kontuaru wąły szept recepcjonistki:

– Czy nic się pani nie stało?

Wtem z jakiegoś zakątka wypadła w szaleńczym kłusie Iwona Pieniążek, pokrzykując rażno:

– Nic się nie stało, szis łokej, szis łokej...

Przypadła do mnie, zaczęła zbierać banknoty garściami i wpychać mi za pazuchę.

– Ar ju ołrajt? – wrzasnęła ze straszliwym akcentem. – Szi ys ołrajt, her łolet łopen – krzyknęła w powietrze, podnosząc mnie za łokieć.

Zauważyłam, że uczyniła to bez szczególnej czułości.

– Spadamy stąd, w podskokach – syknęła do mnie, uśmiechając się w kierunku lobby... – Je, aj get e kap for ju, zawołam pani taksówkę, dzięki Bogu nic się nie stało... – A jednocześnie szczypała mnie w ramię i szeptała wściekle: – No, szybciej, ofiarno, spadówka, spadówka... – Z uśmiechem na ustach wypchnęła mnie za drzwi hotelu i rzuciła tylko: – I pamiętaj, że nic nie pamiętasz!

Znalazłam się na zalanej słońcem ulicy X w Krakowie, ze zmiętymi dolarami pod kurtką, rozbitym nosem i chaosem w umyśle. Spojrzałam w górę na hotel, w którym gości spotykają tak niewiarygodne przygody, a którego nazwa pochodziła jakby wprost z taniego filmu pornograficznego. „Barbican Hotel” – głosił napis, elegancko wykuty w brązie na grubym szkłe, a pod spodem wyryto zarys wieżyczek Barbakanu.

Pokonana, powlokłam się do domu.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

